ROZMAITOŚCI.

Dnia 5. Lipca. **N^er^ 27.** **Roku 1854.**

ZŁOTY KLUCZYK

z francuzkiego, P. Oktawa Feuillet.

(Dalszy ciąg. Ob. N. 16. 17. 18. 19. 20. 21. 25. 26. Rozmaitosci.)

List IV.

Le Chesny 10. Lipca.

Ledwie mam tyle czasu, by ci napisać kilka słów z mego zakąta. W niewinności Paryżanina wyobrażałem sobie że w kilku godzinach wywiążę się z zadania które sobie dobrowolnie dałem narzucić, ale wszystkie te sprawy dzierzawcze i młyńskie były mi w bliższych szczegółach tak zupełnie obce, że chcąc uniknąć hańby abdykacyi, musiałem się zabrać do nauki i zaczynam od abecadła gospodarskiego. Rzuciłem się w ten nowy dla mnie zawód z najchwalebniejszą gorliwością: przeczytałem pięć tomów „*Wzorowego gospodarza wiejskiego*“ z obrazkami; powtórzyłem w części mój kurs prawniczy; kilkakrotnie wezwałem do siebie notaryusza z naszego miasteczka i rozmawiałem z nim strasznym jego językiem. Poruszyłem wszystkie sprężyny! zasięgałem nawet rady Jana Bajlego, mego swata, który ma sławę dobrego i roztropnego agronoma. — Najnaglejszém było dowiedzieć się o stanie restancyi z każdéj dzierzawy. Do tego punktu już doszedłem. Przekonałem się że jeden z naszych pięciu dzierzawców jest oszust, z którym według mego zdania postąpię wspaniałomyślnie gdy go tylko wyrzucę. Zostanie mi więc jeden upróżniony folwark do nadzoru. Dodaj do tego reparacye, zręby, szarwarki, młyny które się nieobracają ze złości i dla braku wody, nakoniec tysiączne inne miłe zabawki, a będziesz mnie miał za wytłumaczonego.

Czy uwierzysz kochany Jérzy, że wstydząc się z razu téj poniżającéj pracy, nabrałem do niéj z wolna z melancholiczną rezygnacyą chęci i smaku. Tak jest w saméj istocie. Nudy tak strasznie oschłego zajęcia zawsze jeszcze lepsze niż zupełna bezczynność. — A zresztą kochany przyjacielu, pod skorupą pracy najgrubszéj, najniewdzięczniejszéj, ukrywa natura, albo Bóg jeżeli chcesz, owoc dziwnie smaczny, który lepiéj jest znany ubogiemu niż nam. Jest-to niewymowne miłe uczucie zaspokojonego in-

stynktu i spełnionego przeznaczenia. Pominąwszy nawet wszelkie zastosowanie, czynność sama przez się uspokaja nas i sprawia nam przyjemność, albowiem wprowadza nas poniekąd, w prawdziwy porządek naszego przeznaczenia, w harmonię z odwiecznemi prawami natury.— Ów bóbr, który ujęty w klatkę, nieprzestawał zajmować się swą niepotrzebną architekturą, nie był wcale głupi! — Da Bóg doczekać, i ja myślę naśladować tego mądrego Mohikanina w sferze moich zdolności. Jeżeli kiedy skończę moją teraźniejszą robotę, będę robił koszyki z szuwaru albo będę haftował, albo zrobię pulpit dla zgromadzenia prawodawczego, niewiem dokładnie co pocznę; ale zatrudniać się będę regularnie, jak regularnie jém obiad, albowiem instynkt pracy zdaje mi się w człowieku tak naturalnym i tak silnym, jak instynkt głodu.

Jeżeli więc pani d'Athol powodowana była myślą zemsty zaprzęgając starego uwięzionego lwa do pługa wiejskiego, tedy cel jéj chybiony. Przeciwnie, czuję rodzaj względnego zaspokojenia; ale łatwo pojmiesz że to uczucie nie jest szczęście, ani nawet swoboda. Chociaż przestałem ci o tém mówić, jednak zastanawiam się sam często nad oryginalnością mego położenia, a uczucia jakie te rozpamiętywania we mnie wzbudzają, wcale nie są przyjemne. Mężczyzna, który w obec kobiéty odgrywa rolę — tak szczególną jak jest moja, niemoże być wesół, chociażby wszelką filozofię brał na pomoc. Niemyśl ażeby serce moje przestało być na chwilę najspokojniejszém w świecie; ale w całém mojém położeniu jest coś śmiesznego, — i to mnie trapi.

Zresztą, kochany komendancie, obejście pani d'Athol ze mną jest boskie. Wyraźnie obsypuje mnie grzecznościami. Mało się widujemy; ale gdy się widzimy to niema końca etykiecie i ceremoniom, sądziłbyś że Chesny to mały Wersal. — A jakie zachwycające wyrazy! — Jak pani ślicznie wyglądasz dziś rano!... albo, wieczór: — Jak pani ślicznie wyglądasz dziś wieczór. — Słowem wyczerpujemy wszystkie skarby konwersacyi.

Omyliłem się: mamy tu w sąsiedztwie trzech kawalerów, którzy się nieźle ubierają, dzielnie jeżdżą na koniu, doskonale tańczą walca i noszą róże w dziurce od guzika. Nazywają ich tu: Ci panowie. Siostry ich, panienki już dojźrzałe, polubiły jak się zdaje bardzo Zuzannę, bo sześć razy w tygodniu przysełają do niéj swych braci z małemi zleceniami, to z jakiemiś wzorkami, to z nótami, to z tysiącznemi innemi drobnostkami wchodzącemi w zakres stosunków niewieścich.

Wczoraj przed obiadem, Zuzanna w sielankowym stroju haftowała paciorkami siedząc na kanapce przy otwartém oknie swego budoaru. Ja wracałem z pola... i zaziérając nagle przez otwarte okno, rzekłem: Dzień dobry pani! — Zadrżała, ale natychmiast ukłoniła mi się według wszelkich prawideł sztuki: — Ah mój Boże! rzekła siadając, jakże pan wyglądasz! Czy tam taki proch? — To nie proch, pani, to mąka, rzekłem po-

ważnie. — Ah! w saméj rzeczy, odpowiedziała, wpatrując się we mnie swemi wielkiemi oczyma; nawet włosy masz pan zmączone! — I powstając z naturalną żywością wyciągnęła ku mnie rękę, jak gdyby chciała strzepać ze mnie pył; ale ta poufałość zdawała jéj się zapewne przekraczać granice które sobie wyznaczyła, nagle bowiem zarumieniła się i usiadła trochę zmieszana znowu na swéj kanapce. Nieuwierzysz jak jéj z tym rumieńcem do twarzy.

Po chwili odezwałem się do niéj z cicha. — Jakże z pani romansem? — Widziałem wyraźnie jak jéj igła zadrżała w ręku. — Panu jak widzę bardzo pilno, przemówiła po chwilce. — Pilno mi nie jest, ale czekam. — W téj chwili posłyszałem za sobą tętęt koni: byli-to nasi trzéj kawalerowie z sąsiedztwa, wjeżdżali na dziedziniec, wszyscy trzéj frontem jak gdyby do boju harcując na swych rumakach i kłaniając się z gracyą rycerską. Odwzajemniłem lekkiém skinieniem głowy to powitanie, i odwróciłem się znowu do Zuzanny patrząc na nią z uśmiechem. Zarumieniła się znowu i kilkakrotnie potrzęsła głową, jak gdyby chciała rzec: — Masz szczęście że ich aż trzech razem.

Dziwny charakter w téj kobiécie! Gdyby mi niestała zawsze przed oczyma ta burzliwa scena mojéj ślubnéj nocy, gdyby ten wybuch słów gorzkich, gwałtownych i namiętnych niebrzmiał jeszcze w mych uszach, nigdybym niesądził, że w łonie tego dziecka mogą się mieścić gromy, że ta czysta śmiejąca powierzchnia może ukrywać żywioły gwałtownéj burzy. — Pozwól kochany bracie, niech ci opiszę jéj życie: rano widzę ją z mych okien podróżującą po rosie, z kląbu na kląb, od jednego drzewa do drugiego, jak zbiéra starannie kwiatki, gałązki, badyle wszelkiego rodzaju i koloru; to wszystko zanosi oburącz do swego budoaru i do salonu. Tam ustawia bukiety według pewnych prawideł harmonii w wazony, dzbanki i w ogóle we wszystkie naczynia jakie w sobie mieści zamek. Skończywszy to dzieło za pomocą nieodstępnéj Jeanetty (niecierpię téj baby), usiada pośród swego sztucznego kiosku, i ztamtąd, jak królowa kwiatów, wydaje służbie rozkazy dzienne. — Po śniadaniu, natychmiast przyprowadzają Souluka: wyjeżdża ze mną albo bezemnie; za godzinę powraca w galopie, cała zadyszana. — Prędko, prędko! gdzie moja igła? moja robota? mój naparstek? moja suknia?... (bo ona czasem robi suknie dla siebie, dlaczego, niewiem, chyba że koniecznie musi zawsze coś robić, a świat skończyłby się zapewne, gdyby założyła ręce na jedną minutę)... Niedawno nawet zastałem ją przykrawającą kaftanik dziecinny z grubego sukna; niewiem dla kogo przeznaczona była ta robota. Dodaj do tego częste odwiedziny, szczególnie wieczorami, muzykę, chodzenie na nabożeństwo i nakoniec częste i długie konferencye z jednym potąd rywalem moim.

Jest-to pleban tutejszy który chrzcił Zuzannę i pomimo to jeszcze żyje. Jest-to staruszek nadzwyczajnie dobroduszny. Co niedziela jada u nas obiad i opo-

wiada anegdoty, jak się zdaje bardzo zabawne, bo sam się z nich śmieje serdecznie, a Zuzanna aż się zachodzi. Po obiedzie zamyka się z nim na dłuższy czas, a potem widzę jak wychodzi starowina poważnie, niosąc pod pachą pakę papierów. Zdaje mi się że tu idzie o jakieś sieroty.

Niemogę kochać tego dziecka, serce moje niezdolne już kochać, ale jeżeli to wszystko nie jest komedyą, jeżeli ona rzeczywiście powzięła wzniosłą myśl ugasić płomienie swéj duszy w pobożności i dobroczynnością ukoić wszelką namiętność swego młodego wieku, tedy nieupadłem jeszcze tak nizko, bym niemógł uwielbiać jéj cnót i zachować dla niéj cześć w głębi méj duszy. Dąży do rzeczy niepodobnych. Mniejsza o to! Co do mnie, niezapomnę jéj tego nigdy. Bywaj zdrów.

P. S. — Omało niezapomniałem donieść ci o jednéj rzeczy, która ciebie także powinna obchodzić. Wspomniałem już żem zasięgał rady Jana Bajlly, który uchodzi za luminarza w naszéj okolicy. Odwiedziłem go niedawno i spędziwszy trzy godzin w jego uczoném towarzystwie, nagadawszy się do przesytu o tuczeniu wołów, zabiérałem się do odjazdu. Ale gościnny gospodarz prosił mnie bym się zatrzymał, gdyż mi chce kogoś przedstawić. Wyszedł do sieni i zawołał donośnie: — Héj chłopcze! znijdź-no trochę! — Chłopiec zeszedł na dół, a ja zaledwie zdołałem stłumić w sobie okrzyk zdziwienia, bo na piérwszy rzut oka zdawało mi się że widzę ciebie przed sobą. Byłto młody człowiek ubrany w uniform twego korpusu i twojéj rangi, co się bezwątpienia przyczyniło do tego złudzenia; przytem twego wzrostu, twój skład twarzy, twoje ułożenie, twoje oczy, to wszystko osłabione i zamglone cerą chorowitą i bladością nadzwyczajną. Bawi on od miesiąca u swego stryja Bajlly. Otrzymał ranę w Afryce i teraz cierpi na piersi; zdaje mi się że dla kuracyi sypia w stajni. — Niesłuży on w twoim batalionie i zna cię tylko z nazwiska. Ofiarowałem mu do dyspozycyi mój park i moje konie. Koni nieprzyjął, ale z parku korzysta. Wskazałem mu miejsce którędy się łatwo dostać może do parku, nieobchodząc daleko by się dostać do głównego wchodu. W obejściu jest miły chociaż trochę entuzyasta. I w tém także podobny do ciebie. Zuzanna używa całéj swéj wymowy, dowodząc mu że widocznie tyje; żartuje z jego pomieszkania stajennego, koniec końcem rozwesela i pociesza biedaka jak może. — Zuzanna spostrzegła go już raz w kościele i powiada mi, że równie jak mnie uderzyło ją podobieństwo z panem Jérzem Vernon; tylko, powiada jeszcze Zuzanna, pan Jérzy lepiéj się wydaje, bo ma bliznę na czole. — Dobranoc, bohaterze.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Aj gdyby żony wiedziały!

Krotofila w 1. akcie wierszem,

przez

Ksawerego Godebskiego.

(Ciąg dalszy. Ob. Nr. 23. 24. 25. 26. Rozmaitości.)

Scena 15.

Celina — Ludmiła.

(Kończą rozpoczętą rozmowę.)

Ludmiła.

Tak przecież było — choć uwierzyć trudno:
Wszystko tłumaczy oświadczenia żywość.

Celina.

Mąż mój miał śmiałość?...

Ludmiła.

Znaleźć mnie przecudną.

Celina.

Co za bezczelność!

Ludmiła.

Co za niegodziwość!

Celina.

I ma tu przyjść?

Ludmiła.

Mam nadzieję
Że się zejdziemy nanowo,
Skoro do reszty ściemnieje:
Wiąże nas wzajemne słowo
I zawodu się nie boję.
Nie chcąc by próżno odbywać miał wartę,
Drzwi mu od tyłu zostawiam otwarte.

Celina.

Ja też otworzyłam moje:
Wszakżeś sama tego chciała?..
A gdyby też skręcił który?...

Ludmiła.

Ah! co o to trwoga mała.
Można śmiało przysiądz z góry,
Że jak mój tobie, tak twój mnie dopisze.
(podsłuchując pod swojemi drzwiami.)
Właśnie też wchodzi.

Celina.

(podsłuchując pod swemi.)
I ja kogoś słyszę.

Ludmiła.

Nie mamy tedy czasu do stracenia:
Nasza umowa w niczém się nie zmienia.

Celina.

Bierzesz mój pokój — ja do twego wchodzę:
Tak obadwa w sidła wpadną.
A jutro...

Ludmiła.

Jutro zemścimy się srodze,
Odbiorą karę przykładną.
Dowód będzie oczywisty:
Oświadczenia, schadzki, listy...
Podburzémy ich nawzajem:
Jeden drugiego zburczy, zarumieni...

Celina.

I wojskowym obyczajem
Wyzwą się...

Ludmiła.

Wyjdą...

Celina.

Gniewem uniesieui...

Ludmiła.

Pobiją się...

Celina.

Zabiją...

Ludmiła.

To znowu za wiele:
Kto słyszał śmiercią karać takie bagatele!
Zatrzymamy walkę w porę:
Już ja to na siebie biorę:
Oba są więcéj lekcy niż złośliwi...
Ale już dosyć długa ta narada:
Każdy z tych panów tam się niecierpliwi:
Nie radzić teraz, lecz działać wypada.
(Ludmiła wchodzi do pokoju Celiny; Celina wchodzi do pokoju Ludmiły.)

Scena 16.

Pani Bargeld *(sama ze świécą w ręku.)*

Nie ma nikogo! — Przecież od godziny
Ciągłe z téj sali dochodzą mnie szmery:
Dotąd odgadnąć nie mogłam przyczyny;
Ale to wszystko nie jest bez kozery...
Obaj Rotmistrze zachodzą w tę stronę,
Wynajdnjąc pozory... któż tym panom wierzy?...
A te dwie damy tak są zatrudnione
Że dotąd nie wspomniały nawet o wieczerzy...
Byliżby z sobą już tak prędko w zmowie?
Aż strach pomyśléć jak się Bargeld dowie!
Tu, gdzie mężczyzny nie ma postać noga,
Od razu cała wojskowa załoga!
Memu mężowi nie trzeba tak wiele:
Na kim się skrnpi, a na mnie się zmiele.
Dziwno jednak, że nigdzie światła nie żądano:
Może się spać pokładły— Wprawdziéć już nie
(rano.
(stawia lichtarz na stole — i podsłuchuje pod Nr. 2.)
Ta jeszcze nie spi — słychać jakieś szepty —
Z kimże rozmawia w tak późnéj dobie?..
(idzie pod Nr. 4.)
I tu to samo — jak widzę obie
Jednakiéj na sen użyły recepty. —
(słychać dzwonienie.)
Bargeld wraca — zginęłam! sfnka mnie i stłncze.
(Porywa za świécę — odchodzi i znowu wraca.)
Sama już nie wiem, co robić za trwogą...
Wszystkie drzwi pozamykam i pochowam klu-
(cze:
Niechaj się gachy ratują jak mogą.
(Stawia świécę na stole, i ucieka.)

Scena 17.

Ludmiła — Celina.

Ludmiła *(otwiérając drzwi gwałtownie, jakoby unikała wielkiego niebezpieczeństwa.)*

Co za fatalność!

Celina *(podobnież.)*

Ah! jakie zdarzenie!

Ludmiła.

Rzecz niepojęta!

Celina.

Dziwy niesłychane!

Ludmiła.

Cóż?

Celina.

Cóż?

Ludmiła.

Drżę jeszcze.

Celina.

Dotąd się rumienię?

Ludmiła.

Któż mógł przewidziéć? —

Celina.

Jak zgadnąć tę zmianę?

Ludmiła.

Jakby z umysłu zmylili się oba.

Celina.

Przeciw nam wszystko...

Ludmiła.

Ciemność...

Celina.

Nocna doba...

Ludmiła.

Należało mówić cicho,
Żeby się nie zdradzić głosem;
On też sobie, jak na licho,
Pomrukiwał wciąż pod nosem.

Celina.

Mnie się to wszystko nie mieści w głowie.

Ludmiła.

Spytałam, jak się nazywa?
Gdy odrzekł, że się Romanem zowie,
Nie wiem jak zostałam żywa.

Celina.

Łatwo więc pojmiesz, co się ze mną działo,
Kiedy mi w uszach nagle zatętniało
Nazwisko pana Janusza:
Tylko co z ciała nie wybiegła dusza.

Ludmiła.

To jeszcze szczęście, że się w czas zabrali,
Byłoby gorzéj nierównie wypadło...
Miejmy to sobie za nocne widziadło.

Celina.

Łatwo to mówić — lecz cóż będzie daléj?

Ludmiła.

Ja dłużéj zmyślać już nie jestem w stanie.

Celina.

Mnie pewno zdradzi moje pomieszanie.

Ludmiła.

Nie ma innego sposobu:
Trzeba z błędu wywieść obu;
Wyznać im wszystko — i rzecz się zagodzi.

Celina.

Nigdy nie zdołam...

(dobrodusznie.)

Ty więcéj śmiała
Gdybyś Romana oświecić chciała...

Ludmiła.

Sprobuję.

Celina *(ujźrzawszy nagle nadchodzącego Janusza.)*

Przebóg! — patrzaj! — twój mąż wchodzi!

Ludmiła *(przestraszona — zasłania twarz, żeby jéj mąż nie poznał.)*

Uciekam!

Celina.

Jakto?.. mówiłaś dopiéro...

Ludmiła.

Nie widząc męża.. miałam chęć... i szczérą...
Jestem odważną, ale zdaleka.

(Janusz ujźrzawszy dwie kobiéty, zatrzymuje się zdumiony we drzwiach.)

Celina.

Nie zniosę wzroku tego człowieka.

Ludmiła.

Tylko pięć minut, aż nieco ochłonę;
Inaczéj wszystko może być zgubione...
Zostań — tylko pięć minut — kiedy ci Bóg (miły!

(ucieka do swego pokoju.)

Janusz *(sam do siebie w progu.)*

Czy mi się w oczach nagle zdwoiło,
Czy też istotnie dwie ich tu było?

Scena 18.

Celina — Janusz.

Celina *(przerażona.)*

Zostawia mnie. — Ucieka! ah! nie mam już (siły!...

(rzuca się na krzesło, i zasłania twarz rękoma.)

Janusz *(postępując naprzód.)*

Chciałem wyjść — nie podobna — dom cały (zamknięty —
Cóż robić? — trzeba poczekać do rana...
Szukając przejścia, spotkałem Romana,
I on po korytarzach błądzi jak zaklęty.
Każdy z nas tutaj — miał jak widać swoją...
Tymczasem mojéj damie słodkie szepnę słówko.

(zbliżając się do Celiny i udając jakoby ją dopiéro spostrzegł.)

Ty tutaj?

Celina *(zrywając się.)*

Jeszcze?

Janusz.

Wyraz ten trąci przymówką
Jakież cię znowu trwogi niepokoją?
Po tém co zaszło, mogłem mieć nadzieje prze- (cie...
Czy mi nie ufasz? Pozwól...

(Chce ją wziąć za rękę.)

Celina *(z żywością.)*

Nigdy! — za nic w świecie!

Janusz.

Tém gorzéj! — Chciéj mi wierzyć, nie jestem (ja trzpiotem
Zmyślającym uczucia...

Celina.

Ah! przestańmy o tém!

Janusz.

Czy myślisz, żem latawiec, skory do zalotów?
U nóg twoich sto razy przysiądz jestem gotów,
Że raz zaprzysiężonéj dochowam ci wiary...

(klęka.)

Kocham cię bez pamięci — uwielbiam bez miary:
Cóż może téj miłości zatruwać rozkosze?
Czy się zawad obawiasz? — zawady te ze- (trzem...

(W téj chwili Ludmiła wychodzi milczkiem ze swego pokoju, zbliża się po cichu do klęczącego Janusza, kładzie rękę na jego ramieniu i daje znak Celinie aby się oddaliła. Celina odchodzi szybko do swego pokoju i uchyliwszy drzwi ukazuje się w nich od czasu do czasu, podsłuchując. Janusz odwraca się, spostrzega żonę i jak gromem rażony, zostaje w tejże postawie tracąc zupełnie głowę.)

(Dalszy ciąg nastąpi).

Hreczka.

Z kroniki powieściarskiéj.

Często po letniéj burzy, widywać można całe łany hreczki spalonéj, czarne, jak gdyby je płomień okopcił. Chłopi mówią: „Grom hreczkę osmalił“ — ale dlaczegoż? — Otóż powiem co mi wróbel jeden wyśpiewał, a sam przysłuchał się tego u staréj wierzby która nad hreczyskiem rosła i jeszcze rośnie, prawda, już podpróchniała, i wnętrzem zbutwiała, ale zawsze poważna; obsadziła się grzybami i mchem, kosę spuściła niżéj kostek do saméj ziemi, więc nie miałaby powodu kłamać, sądził wróbel.

Około wierzby rosły łany zboża, było żyto, pszenica, jęczmień, był i owies, a owies prześliczny, żółciótki jak kanarek na chwiewnéj gałązce. Zboże ścieliło się jak kobierzec w przysionku do raju, a im pełniejszy był który kłosek, z tém większą pochylał się pokorą.

A stał tam także, właśnie naprzeciw staréj wierzby, i łanek hreczki, zdala lśniła się jak jezioro; ale dźbłem swojém nie pochylała się jak inne zboże, lecz szczurzyła się prosto do góry jak motyka.

I jam równie plenna jak żyto, mówiła hreczka, a przytém jestem wcale ładniejsza; moje kwiatuszki tak piękne jak u jabłoni, aż lubo im się przypatrzyć! Czy widziałaś ty co śliczniejszego, stara wierzbico?

Wierzba pochwiała gałęziem, na znak że wierzy; ale hreczka, że nie dosłyszała wyraźnéj pochwały, rozparła się z pychą, i mruczała: Czupiradło stare! grzybem porasta a jeszcze rozumu niema.

Tymczasem nadeszła burza, jak-to się w lecie zdarza, wszystkie kwiatuszki polne się pozwijały, pozwieszały główki, ale hreczka choć burza przechodziła patrzała dumnie, i ani myślała jak się osłonić.

Uchyl głowę, wołały kwiaty.

Schowajcie radę dla siebie; obejdę się sama; odpowie hreczka.

Uchyl się, uchyl, wołało zboże, jak my się chylimy! Anioł pożogi leci, a ma skrzydła któremi z obłoków do ziemi sięga i wszystko zmiata co się przed nim nie korzy, uchyl się przed wielmożnością jego, a łaskaw ominie cię jeżliś pokorna.

Otóż stać będę jak stoję! odpowie hreczka.

Zasklep kwiat twój! wołała wierzba; nie patrz w piorun kiedy w obłoku pęka, tego się nawet ludziom nie godzi, znaczy to podglądać w twarz Boga samego, i oślepnie każdy kto się poważy. Wydarzało to się nieraz ludziom, chociaż zacniejsi od was, a przecie!

I cóż przecie! mówi hreczka — i cóż im się stało? Sowizdrzały chodzą jak chodzili. Ja, hreczka nie to, godna spojźrzenia nieba, i patrzyć będę. I patrzyła nie mrożąc oka, jak całe niebo prawie w ogniu pałało.

Gdy burza przeszła, popowstawały kwiaty i zboża i oddychały powietrzem spulchnioném świeżością rosy niebieskiéj; a hreczka stała jak stała, ale od błyskawicy i piorunów zesmalona cała. Rodziła się zbożem, a umarła chwastem.

Stara wierzba potrzęsła gałęźmi, z liścia po liściu stoczyły się krople deszczowe, a wróble pytają: Czego ty płaczesz? wszak tu tak błogo! Patrz tu słońce się złoci, a tam obłoki się tulą! kąpiesz się w woni kwiatów i krzewów, i płaczesz czegoś stara wierzbo!

A wierzba patrząc na hreczkę mówi: bądźcie i w szczęściu skromni, oto kara za pychę.

To mi wróbel powiadał.

Tani sposób żywienia ludzi. — (Doniesienie w Korespondencie Warszawskim.) Sposób żywienia ludzi jest największą kwestyą społeczeńską; od niéj zależy stan zdrowia ludności, utrzymanie sił fizycznych, moralność publiczna.

Przed dwoma laty, przedstawiałem publiczności kolacyę moję za półtrzecia grosza, składającą się z buraków cukrowych w stanie surowym i kaszy jęczmiennéj: dziś kiedy zostałem i oszczędniejszym i lepszym kucharzem, przedstawiam zmianę téj potrawy.

Na 16 ludzi kolacya.

Bierze się jeden garniec buraków kiszonych i pół garnca pęczaku, osobno się gotuje pęczak a osobno buraki kiszone, oblane wodą aby lżejszy miały kwasek.

Dopiéro jak się pęczak dobrze ugotuje i rozklei, i buraki się ugotują, miesza się i razem zagotowywa.

K o s z t a.

Jeden garniec buraków	kop.	4
Dwie kwart pęczaku czyli 3 kwart jęczmienia	„	$13\frac{1}{2}$
Sól	„	$2\frac{1}{2}$
Razem	kop.	20

a więc mnie na jednego człowieka kolacya nie kosztuje więcéj jak półtrzecia grosza, chociaż rachuję korzec buraków rub. sr. 1 kop. 20, korzec jęczmienia rub. sr. 5 kop. 40.

Ludzie moi bardzo kontenci są z téj kolacyi, wolą jak kluski, na które wychodziło naraz dwa garnce mąki pytlowéj, która kosztuje kop. 50, a ja codziennie na ich kolacyi oszczędzam kop. $32\frac{1}{2}$.

Trzeba nam koniecznie sadzić buraki, bądź cukrowe, bądź pastewne, trzeba ich nietylko mięszać do kapusty, ale nadto, na wiosnę, gdy się kłody wypróżnią, zakwaszać, a zabezpieczymy ludność naszą od głodu. — Bedlno d. 7. Maja 1854 r. *Jacek Wolski.*

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*